

Agnieszka Gałkowska, Stanisław Gałkowski

Albo bezpośrednia, albo demokracja

Wbrew wielu mitom i legendom nigdy nie było na świecie ustroju, który zgodnie z dzisiejszymi standardami moglibyśmy nazwać demokracją bezpośrednią. Najbliższe jej postacie, jak demokracja ateńska, czy zebrania obywateli kantonów szwajcarskich niewątpliwie były podmiotami władzy sprawującymi bezpośrednio funkcje władcze, niemniej jednak można się zastanawiać czy były one (w dzisiejszym rozumieniu) demokracjami, skoro jak w przypadku Aten, do takiego zgromadzenia *ex definitione* nie mogły wejść kobiety, niewolnicy, służba domowa, ludzie ubodzy, czarni, żółci, czerwoni etc. Do podejmowania decyzji była uprawniona niewielka część społeczności, której te decyzje dotyczyły. Nawet jednak wśród tak wyróżnionej grupy istniała hierarchia wynikająca po prostu z lokalizacji zgromadzenia – osoby mieszkające dalej od tego miejsca siłą rzeczy miały mniejszy udział w podejmowaniu decyzji.

Współcześnie taki ustrój (nie negując jego bezpośredniości) nazwalibyśmy raczej oligarchią. Niemniej jednak sami zainteresowani mogli uważać, że podejmując decyzje za całą społeczność w jakiś sposób reprezentują jej wolę oraz interesy.

Dziś po raz pierwszy w historii stajemy przed możliwością zrealizowania takiego ustroju: prawa obywatelskie przysługują wszystkim dorosłym mieszkańcom kraju (nieliczne wyjątki osób ubezwłasnowolnionych i skazanych na utratę praw obywatelskich nic tu nie zmieniają), bezprecedensowy rozwój techniki, w tym przede wszystkim Internetu, również po raz pierwszy umożliwia faktyczny – a nie tylko teoretycznie możliwy – udział wszystkich obywateli w procesie decyzyjnym.

Wymaga to więc powtórnej i gruntownej refleksji, gdyż to, co do tej pory było właściwie niezobowiązującym „ćwiczeniem z myśli politycznej”, w tej chwili może stać się realną podstawą ustroju nie tylko lokalnego czy krajowego, ale wręcz może uzyskać skalę globalną.

Pojęcie „demokracja bezpośrednia” jest dość szerokie, występują więc różne jej definicje, jednak „wspólną cechą większości z nich jest osobisty udział członków zbiorowego podmiotu suwerenności (obywateli państwa – miasta, narodu, ludu) w wypełnianiu przez nich różnych funkcji publicznych. Istotą jej jest to, że osoby uprawnione mogą bezpośrednio decydować, w drodze głosowania, o ważnych sprawach dotyczących państwa czy społeczeństwa. Do instytucji demokracji bezpośredniej odwołują się w przypadku spraw szczególnie ważnych dla bytu państwowego określonego terytorium, czy rzeczy istotnych dla społeczeństwa”¹. Zdając sobie sprawę z wielości aspektów demokracji bezpośredniej, w niniejszym tekście akcentujemy przede wszystkim właśnie owo bezpośrednie głosowanie, czyli skupiamy się głównie na potencjalnych konsekwencjach związanych z referendalną postacią demokracji bezpośredniej.

Z przyczyn praktycznych wydaje się oczywiste, że demokracja bezpośrednia w postaci czystej jest niemożliwa, jednak można ją traktować jako swoistą ideę regulatywną, horyzont naszych dążeń. Uznając jej nierealność można uznać, że im bardziej zbliżymy się do tego nieosiągalnego ideału, tym lepiej, czyli w praktyce należy wspierać wszelkie zmierzające w jej stronę zmiany ustrojowe. Jeśli więc uznamy że *bezpośredniość* demokracji jest cechą stopniowalną, wszelkie zmiany, jakie za sobą może pociągnąć, również mają taki charakter. Nie wystąpią więc nigdy w postaci czystej, niemniej jednak są elementem, który należy brać pod uwagę podczas debat ustrojowych. Jest to niewątpliwie perspektywa kusząca.

MOTYWY

Chęć powrotu do antycznych, ateńskich źródeł demokracji, czyli do demokracji bezpośredniej, wynika z trzech odmiennych, lecz wyraźnie powiązanych i wzajemnie się wzmacniających motywacji.

Pierwsza ma charakter teoretyczny: Jeśli termin „demokracja” będziemy traktować poważnie, a więc dosłownie, musimy uznać, że to lud ma sprawować władzę, czyli podejmować decyzje władcze. Z tej perspektywy demokracja przedstawicielska (gdzie decyzje podejmują nieliczni w imieniu

¹ S. Grabowska, *Formy demokracji bezpośredniej w wybranych państwach europejskich*, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2009, s. 9.

wszystkich) jest tylko formą przejściową dla prawdziwej demokracji, gdzie decyzje podejmują wszyscy. Demokracja przedstawicielska miała rację bytu tylko jako „zamiennik”, w sytuacji gdy nie było możliwości poznania prawdziwej woli ludu. Dziś istnieje taka możliwość, zatem nie ma podstaw do przedłużania istniejącego stanu rzeczy.

Drugi rodzaj motywacji wynika z istniejącej wśród ludzi potrzeby kierowania własnym losem. W powszechnej opinii możliwość wyrażania własnej woli w sprawach publicznych i politycznych staje się wartością znacznie bardziej pożądaną niż za czasów Rousseau. Tym samym rośnie więc znaczenie, jakie chcielibyśmy przypisać demokracji bezpośredniej.

Z drugiej strony wszyscy na świecie mamy poczucie, że „tracimy kontrolę nad siłami, które rządzą naszym życiem”².

„Nierównomierność rozwoju globalnej areny ekonomicznej i politycznej prowadzi w konsekwencji do sytuacji, w której procedura demokratyczna obejmuje malejący zakres decyzji politycznych, a decyzje o globalnych skutkach, podejmowane zwłaszcza na arenie ekonomicznej (częściowo także na płaszczyźnie kulturowej), nie podlegają w ogóle lub w niewielkim stopniu procedurom demokratycznym. Coraz większa część decyzji, istotnych dla życia ogromnych rzesz ludzi, podejmowana jest nie przez wybranych przedstawicieli, lecz przez instytucje korporacyjne, które w najlepszym przypadku odpowiadają za nie jedynie przed członkami własnej struktury korporacyjnej, a nie przed tymi, którzy w skali globalnej odczuwają ich skutki”³.

Taka sytuacja – znana z obecnego kryzysu – wzmacnia istniejącą już nieufność do elit politycznych jako do marionetek pociąganych za sznurki przez „nieznane siły”. (Nie jest to oczywiście jedyna przyczyna narastającego od pewnego czasu braku zaufania do polityków, niemniej jednak jest to czynnik wyraźnie wzmacniający tę tendencję). Wobec powyższego rozsądnym wyjściem może się wydawać „powrót do źródeł” – odebranie władzy z rąk wyalienowanych i nierealizujących naszych interesów elit i złożenie jej w ręce właściwego podmiotu, jakim jest lud.

Tu pojawia się jednak problem natury psychologicznej – ludzie, którzy uświadamiają sobie, że wielokrotnie podejmowane przez nich działania nie

² M. Sandel, *Democracy's Discontent. America in Search of a Public Philosophy*, Harvard University Press, Cambridge 1996, s. 3.

³ E. Wnuk-Lipiński, *Świat międzyepoki. Globalizacja. Demokracja. Państwo narodowe*, Znak, Instytut Studiów Politycznych PAN, Kraków 2005, s. 97–98.

zmieniają niedogodnej dla nich sytuacji, popadają w bezradność wyrażając się zaniechaniem jakiejkolwiek aktywności, gdyż nie wierzą, by mogli wpłynąć na poprawę stanu rzeczy, nabierają przekonania o bezsensowności angażowania swoich sił, stają się apatyczni i niezdolni do nauki bardziej adekwatnych zachowań⁴. Zatem osoby, które mają poczucie utraty kontroli (o co, jak wspomniano, łatwo w obecnym świecie), czy to osobistej, czy też żywią przekonanie, że w ogóle nie da się wystarczająco kontrolować sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej, nie będą aktywnie włączać się w procedury demokracji bezpośredniej, a wymaga ona przecież większego – niż przy jej klasycznej formule – zaangażowania. To że stosunkowo dobrze sprawdza się w mniejszych społecznościach (kantonach, miastach) wynika z większego poczucia wpływu na rozstrzygane tą drogą problemy (w tym, co lokalne łatwiej zauważyć zależności, a własny głos nie ginie w milionach innych), ale nie oznacza powodzenia tej procedury w skali szerszej.

KOMPETENCJE OBYWATELI

Demokracja bezpośrednia zmienia radykalnie sytuację podmiotu władczego. W demokracji pośredniej reprezentant (niezależnie czy chodzi o władzę wykonawczą, czy ustawodawczą) jest zobowiązany do podejmowania decyzji w imieniu wspólnoty, którą reprezentuje, decyzji wyrażającej interesy całej społeczności (w oparciu o swoje najlepsze ich rozeznanie), przy czym gwarantem, że postulaty nie będą jedynie próżnymi deklaracjami, są rozbudowane procedury demokratycznej kontroli sprawiające, iż reprezentant rzeczywiście odpowiada przed suwerenem za swoje decyzje.

Należy zwrócić uwagę, że przeciętny obywatel biorący udział np. w referendum nie musi spełniać właściwie żadnego z wymienionych trzech punktów tej charakterystyki.

Najbardziej widoczne jest to w odniesieniu do punktu trzeciego – jest to zresztą najczęściej podnoszone zastrzeżenie wobec demokracji bezpośredniej – przeciętny obywatel po prostu (z powodu chociażby zwykłego braku czasu, koniecznego do właściwego przeanalizowania odpowiedniej

⁴ F. Fösterling, *Atrybucje. Podstawowe teorie i zastosowania*, przeł. J. Radzicki, GWP, Gdańsk 2005, s. 131–136.

ilości informacji czy dokumentów) nie jest w stanie intelektualnie ogarnąć złożoności większości kwestii będących przedmiotem decyzji politycznych, co oczywiście musi skutkować ich przypadkowością.

„Ponieważ w referendach nie wybieramy wybierających, lecz rozstrzygamy kwestie w sposób nieodwołalny, ich zalety są całkowicie uzależnione od stanu poinformowania i poziomu kompetencji szerokiego ogółu. Jak to wyraził Rousseau – lud pragnie dobra, którego często nie potrafi dostrzec. A świat Rousseau był nieporównanie prostszy i bardziej zrozumiały od naszego świata, skomplikowanego do tego stopnia, że nawet eksperci – politycy, ale także ekonomiści – wydają się coraz bardziej niezdolni do ogarnięcia go. Stąd pomysł, aby powierzyć rządzenie naszymi niezwykle skomplikowanymi, powiązanymi ze sobą wzajemnie i kruchymi społecznościami milionom odrębnych woli, które z pewnością będą decydowały na ślepo instrumentem o sumie zerowej”⁵.

Jest to zastrzeżenie o charakterze technicznym i choć samo w sobie byłoby w zupełności wystarczające do dalszego toku rozważań, to nawet ważniejsze wydają się dwa pozostałe: reprezentant nie będąc suwerenem musi wypowiadać się w jego imieniu (tzn. całego *demosu*). Natomiast poszczególni obywatele powinni w swoich decyzjach kierować się dobrem powszechnym, lecz jest to powinność jedynie moralna, gdyż nie istnieje (i istnieć nie może) żaden mechanizm zmuszający ich do tego, ani kontrolujący czy tak rzeczywiście czynią.

Polityka polega na harmonizowaniu interesów poszczególnych grup obywateli oraz ewentualnie jednostek. Konieczne jest jednoczesne artykułowanie partykularnych interesów oraz ich synchronizacja zapewniająca interes całości. W ramach demokracji reprezentacyjnej odbywa się to niejako automatycznie – jednostki głosując, kierują się interesami partykularnymi, które następnie są uzgadniane na poziomie władzy reprezentacyjnej, mającej obowiązek kierować się dobrem całej wspólnoty i – co ważne – będącej przez nią kontrolowaną.

Demokracja bezpośrednia, spłaszczając strukturę władzy, stawiałaby więc obywatela wobec właściwie nierozstrzygalnego paradoksu. Jednocześnie musi on w swoich decyzjach reprezentować oba te (nierzadko sprzeczne, a nawet wykluczające się) poziomy interesów.

⁵ G. Sartori, *Teoria demokracji*, przeł. P. Amsterdamski, D. Grynberg, PWN, Warszawa 1994, s. 305.

„Demokracja jako forma polityczna musi sprowadzić różnorodne pragnienia milionów, dziesiątek, czy nawet setek milionów rozproszonych ludzi do jednej władzy; a to oznacza, że warunki wyznaczające pole działania demokratycznego ustroju politycznego są zaledwie nikłym odbiciem optymalnych warunków napotykanych w grupach podstawowych i małych zintegrowanych społecznościach. Pomiedzy demokracją bezpośrednią a systemem demokratycznym na dużą skalę rozwiera się ogromna przepaść”⁶.

Przejście od demokracji reprezentacyjnej do bezpośredniej nie jest tylko zmianą struktur, domaga się również zmiany obywatela. Jest to oczywista, choć często pomijana, konsekwencja przekształceń strukturalnych.

Odwołując się do popularnego rozróżnienia Poppera, należy zauważyć, że społeczeństwo otwarte stawia znacznie wyższe wymagania swoim obywatelom niż społeczeństwo zamknięte. Stwierdzenie takie w pierwszej chwili może wydawać się paradoksalne. Do istoty społeczeństwa otwartego należy to, że nie wtrąca się ono w życie obywateli, pozostawiając im swobodę wyboru stylu życia i nie stawia im żadnych wymogów, a już na pewno wymogów pozytywnych dotyczących się tego, jacy stać się powinni, pozostawia tylko możliwie nieliczne wskazówki o charakterze negatywnym, np. zasadę nieszkodzenia. Tradycja liberalna, której znaczącym przedstawicielem jest właśnie Popper, głosi wszak zdecydowane pierwszeństwo jednostki przed państwem i społeczeństwem. „Jednostka wraz z innymi tworzy społeczeństwo i powołuje państwo; to ostatnie ma zatem odpowiadać jej potrzebom nie zaś odwrotnie. Jest to kanon metodologiczny powszechnie obowiązujący z myśli politycznej liberalizmu, poczynwszy od Johna Locke’a, a skończywszy na Rowlsie”⁷.

Jest to jednak paradoks pozorny. W społeczeństwie zamkniętym zwykły człowiek może pozwolić sobie na bierność obywatelską i oportunistyczne podporządkowanie się „danym mu z góry” normom postępowania i to zarówno w sferze prywatnej, jak i publicznej. Jednostka, posiadając już gotowe wzorce, może czuć się zwolniona z obowiązku własnych poszukiwań takowych, społeczeństwo zamknięte promuje więc postawę bierności wśród obywateli. Odwrotnie jest ze społeczeństwem otwartym. Liberalizm, uważając, że jedyną rolą państwa jest ochrona wolności obywateli, programowo

⁶ *Ibidem*, s. 30.

⁷ Z. Rau, *Jakich obywateli potrzebuje państwo liberalne?*, [w:] *Cnoty polityczne – dawniej i obecnie. Moralne źródła polityki*, red. R. Piekarski, Gdańskie Towarzystwo Naukowe, Gdańsk 1997, s. 333.

odmawia dostarczania takich wzorów, przerzucając tym samym na jednostki konieczność ich znalezienia, uzasadnienia i ugruntowania we własnych postawach i zachowaniach. Społeczeństwo otwarte nie tylko więc „wyzwala władze krytyczne człowieka”, ale używanie ich czyni wręcz powinnością każdego obywatela. A jest to ciężki obowiązek. Życie w społeczeństwie otwartym stawia przed nami szereg konkretnych wymagań sprowadzających się do przesunięcia ze społeczeństwa na jednostkę kontroli zachowań, poczucia odpowiedzialności za wspólnotę oraz aktywności politycznej.

Jednocześnie społeczeństwo otwarte, w swoim funkcjonowaniu opierające się na zasadach demokracji przedstawicielskiej, pozwala swoim obywatelom tę aktywność ograniczać do wskazania swojego przedstawiciela, a następnie kontrolować jego poczynania, sprawdzając czy decyzje władzy nie godzą w jego interesy oraz w interesy ogółu (a dokładnie mówiąc w interesy ogólne – tak jak on ze swojego partykularnego punktu widzenia je rozumie).

Demokracja bezpośrednia idzie jeszcze krok dalej „zakłada przekształcenie zwykłego, prostego obywatela w **hiperobywatela**, który musi – powinien – znać kwestie, o których ma decydować, i być w jakimś stopniu kompetentny w przypisanej mu materii”⁸. Przypisuje mu również wyjątkowe kompetencje moralne.

Ten ostatni aspekt jest bardzo rzadko eksplorowany empirycznie. Istnieją jednak pewne pośrednie dowody na związek orientacji na aspekty moralne – z większym zaangażowaniem politycznym – np. religijność wiąże się z większym udziałem w wyborach lokalnych i krajowych oraz z zaangażowaniem w działalność stowarzyszeń pozarządowych⁹; uczestnictwo w nich samo w sobie zresztą sprzyja partycypacji wyborczej, choćby ze względu na większą w tym wypadku kontrolę społeczną co do przestrzegania norm. Wiadomo też, że osoby i grupy, które nie uważają udziału w wyborach za obowiązek moralny, czy obywatelski – rzadziej głosują¹⁰.

Nieco częściej natomiast badane są sposoby formułowania opinii i decyzje polityczne (wyborcze) przeciętnych obywateli. Ich waga dla większości

⁸ G. Sartori, *Homo videns. Telewizja i postmyślenie*, przeł. J. Źszyński, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2007, s. 94.

⁹ R. D. Putnam, L. Feldstein, *Better Together. Restoring the American Community*, Simon & Schuster, New York 2003, s. 124.

¹⁰ K. Skarżyńska, *Aktywność i bierność polityczna*, [w:] *Podstawy psychologii politycznej*, red. K. Skarżyńska, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2002, s. 48–49.

osób jest mniejsza niż innych decyzji życiowych (np. kupno samochodu, wybór uczelni etc.), w związku z tym powstają one najczęściej na bazie uproszczonych sposobów myślenia, tj. przy wykorzystaniu małej ilości informacji i powierzchownym, a czasem automatycznym, ich przetwarzaniu. Uprzywilejowane przy tym są te informacje, które potwierdzają dotychczasowe poglądy jednostki, a niezgodne z nimi są ignorowane lub deprecjonowane – uznawane za niewiarygodne lub nieznaczące. Większa możliwość dostępu do wiedzy, stworzona przez technologie informacyjne, nie zmienia sytuacji, gdyż pozostaje problem selektywnej ekspozycji – „wystawiamy się” z reguły na takie informacje, które nie domagają się zmian dotychczasowych preferencji i przekonań. Są jednak warunki, w których obywatele dokonują bardziej aktywnych poszukiwań, głębiej analizują informacje i rozważają możliwe konsekwencje decyzji. Okazuje się jednak, że warunki te dotyczą sytuacji, kiedy występują więcej niż dwie alternatywy, co jest rzadkością w procedurach referendalnych. Ponadto tendencja do rzeczywistej refleksji nad własnym stanowiskiem wzrasta pod wpływem informacji, które, jak wskazuje D. Kinder, wiążą skutki decyzji politycznych z namacalnym lub materialnym interesem własnym (zwłaszcza jeśli chodzi o własną osobę lub rodzinę), szczególnie gdy można spodziewać się rezultatów bliskich w czasie. Mniej automatyczne i powierzchowne przetwarzanie informacji pojawiać się może także odnośnie do problemów, które dotyczą sentymentów i resentymentów odczuwanych względem społecznych zbiorowości oraz poruszają „oddanie politycznym zasadom, które zostały złączone ze sprawami publicznymi”¹¹. Z wyjątkiem może ostatniej kwestii, uwarunkowania te wskazują na łatwość ignorowania dobra wspólnego (interesu ogółu) także wtedy, gdy jest szansa na bardziej pogłębione podejście do formułowania swojej opinii czy rozważania decyzji.

Wyniki badań wskazują, że agregacja pojedynczych głosów daje jednak rezultaty pozwalające wychodzić poza partykularne interesy, a i sami obywatele w niektórych sprawach potrafią głosować niezależnie od swojej bezpośredniej korzyści (np. troszcząc się o gospodarkę narodową). Łagodzi to nieco obawy dotyczące niewystarczających kompetencji obywatela, wszakże pod warunkiem dobrej frekwencji, co od dłuższego czasu jest bolączką demokracji reprezentacyjnych i nie ma powodów sądzić, by uniknęła tego

¹¹ D. Kinder za Ch. S. Taber, *Przetwarzanie informacji a opinia publiczna*, [w:] *Psychologia polityczna*, red. D. O. Sears, L. Huddy, R. Jervis, tłum. R. Andruszko, WUJ, Kraków 2008, s. 410–411.

demokracja bezpośrednia. Nie rozwiązuje to jednak problemu, że za swoje decyzje wyborcze, czy referendalne (lub ich brak) obywatele nie ponoszą odpowiedzialności, przynajmniej bezpośredniej. Konsekwencje wygranej danej opcji są zaś na tyle odległe i zależne od tak dużej liczby czynników, że trudno spodziewać się, by przeciętny człowiek wiązał je ze skutkami zajęcia przez siebie określonego stanowiska w wyborach czy referendum. Szczególnie jeśli skutki te są negatywne, wtedy zgodnie z mechanizmami atrybucji albo unikamy dostrzeżenia związku niepowodzenia z własnym działaniem, albo przypisujemy za nie odpowiedzialność innym ludziom lub okolicznościom¹².

MECHANIZMY

Demokracja bezpośrednia zmieniałaby również samo podejście do debaty publicznej i mechanizmy podejmowania decyzji.

Mimo że rola elit politycznych i zawodowych polityków w demokracji bezpośredniej byłaby zapewne zdecydowanie mniej widoczna, nie oznacza to, że wprowadzanie tej formy rządów spowoduje ich zniknięcie albo spadek ich znaczenia, zmniejszy się jedynie ich odpowiedzialność.

Wynika to z trzech przesłanek.

Po pierwsze, rozwój technologiczny nie może zmienić faktu, że niemożliwa jest debata, w której biorą udział miliony uczestników. Większa liczba uczestników wzmacnia rolę elity pełniącej choćby funkcje moderatorów.

Wbrew dość utopijnym oczekiwaniom Internet nie przyczynił się do zrównania szans wszystkich podmiotów politycznych. Wprawdzie każdy może zamieścić dowolny materiał w sieci, jednak by móc oddziaływać społecznie, musi być jeszcze dostrzeżony przez odpowiednio dużą grupę osób. A więc tak jak w przypadku każdego innego medium, również w wypadku Internetu o wpływie społecznym decydują zasoby finansowe, organizacyjne i ludzkie, jakie dany podmiot może zainwestować. „Paradoksalnie Internet wzmacnia pozycje silnych ugrupowań w stosunku do słabszych”¹³.

Po drugie – im bardziej ustrój zmierzałby w stronę demokracji bezpośredniej, tym większych zmian można by się spodziewać w pełnieniu roli

¹² F. Försterlink, *op. cit.*, s. 98.

¹³ P. Maj, *Internet i demokracja. Ewolucja systemu politycznego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2009, s. 166.

polityka. Zamiast poświęcać czas na swoją właściwą pracę, tj. analizowanie rzeczywistości czy dokumentów w celu podejmowania decyzji coraz więcej musiałby go przeznaczać na propagowanie swojego stanowiska, kreowanie informacji, czyli w tym kontekście na przekonywanie podmiotu odpowiedzialnego za ostateczne podjęcie decyzji¹⁴. Powoduje to, iż politycy wprawdzie w dalszym ciągu pozostają czynnikiem mającym największy wpływ na decyzje, lecz przestaliby za nie odpowiadać.

Po trzecie, jak zwraca uwagę Sartori: „Uczestnik referendum przypomina uczestnika wyborów: działa w osamotnieniu, samodzielnie, bez uczestniczenia w dyskusji. Jego przemyślenia nie są kształtowane przez dialog. Wyklucza to czerpanie z ‘mądrości dyskusji’ [...]. Kwestie poddawane referendum będą, oczywiście, rozważane przez środki masowego przekazu, lecz decydujący w referendum, nawet jeśli słucha, pozostaje słuchaczem biernym, nie uczestniczącym – choćby biernie – w tej debacie”¹⁵. Decyzja, przed którą stoi, jest zawsze zerojedynkowa – przyjąć czy odrzucić przedkładaną propozycję – nie ma tu już miejsca na dialog, kompromis czy wypracowywanie konsensusu. Można wprawdzie twierdzić, że w podobnej sytuacji jest członek parlamentu podczas głosowania nad ustawą, różnica polega jednak na tym, że głosowanie poprzedzone jest długim procesem legislacyjnym, w którym parlamentarzysta może wziąć udział (sam lub za pośrednictwem swoich kolegów partyjnych reprezentujących to samo stanowisko). Możliwości udziału przeciętnego obywatela w procesie wypracowania kompromisu są zaś czysto teoretyczne.

„Inna różnica wiąże się z pytaniem: kto ustala treść i konkretne sformułowania kwestii poddawanych referendum? Pytanie to pozwala raz jeszcze zauważyć, że im większy jest obszar demokracji bezpośredniej tym mniejsza jej autentyczność. W demokracji poprzez referendum ustalenie treści referendum ma bez wątpienia podstawowe znaczenie, trudno jednak uwierzyć, że dokonywać się to będzie zawsze zgodnie z wymogami demokracji bezpośredniej, tj. przez samych ludzi”¹⁶. Ta uwaga Sartoriego podkreśla raz jeszcze znaczenie elit politycznych – lud podejmuje decyzję, lecz w dalszym ciągu jej przygotowanie, zaprezentowanie oraz wskazanie możliwych rozstrzygnięć zależy od biurokracji i klasy politycznej.

¹⁴ Por. m.in. Przemysław Maj, *op. cit.*, s. 98.

¹⁵ G. Sartori, *op. cit.*, s. 63.

¹⁶ G. Sartori, *op. cit.*, s. 63.

Pozornie niewiele różni się to od decyzji podejmowanych w warunkach demokracji pośredniej, jak pisze Toffler „W normalnych warunkach większość obowiązków takich osób jak, powiedzmy, prezydent USA czy premier Japonii to: dokonywanie wyboru spośród kilku możliwości (przygotowanych dla nich z wyprzedzeniem przez odpowiednie biurokracje), w sprawach znanych im jedynie powierzchownie, i to tylko wówczas, gdy różne części biurokracji nie były w stanie osiągnąć porozumienia”¹⁷.

W pierwszej chwili wydawać by się mogło, że w analogicznych warunkach podejmuje decyzje „przeciętny obywatel” głosujący w referendum. Zachodzą jednak między tymi sytuacjami dwie różnice, które zamieniają całkowicie ich charakter.

Po pierwsze, polityk podejmuje decyzje jedynie w imieniu suwerena, nie będąc jednak suwerenem jest przed nim za nie odpowiedzialny, zdaje więc sobie sprawę, że ze swoich działań będzie rozliczany, choćby przy okazji następnych wyborów. *Demos* jako suweren nie jest odpowiedzialny przed nikim z wyjątkiem indywidualnego sumienia swoich członków (lub odpowiedzialności przed *Bogiem i historią* – co zresztą na jedno wychodzi).

Druga różnica polega na relacjach między podmiotem suwerenności a biurokacją – zespołami ekspertów przygotowujących decyzje i przedstawiających możliwe alternatywne rozwiązania, wśród których może wybierać decydent. W wypadku relacji polityk (w znaczeniu urzędnik państwowy najwyższego szczebla: premier, prezydent, minister etc.) – biurokracja, ten ostatni element ma rolę zdecydowanie podrzędną. To polityk wyznacza przynajmniej ogólne kierunki działania biurokracji, nadzoruje jej prace, może odrzucić przygotowane przez nią rozwiązania i nakazać szukanie innych. Biurokracja jest więc odpowiedzialna przed politykami. W sytuacji demokracji bezpośredniej sprawa się komplikuje – „przeciętny obywatel” głosujący w referendum musi odpowiedzieć na konkretne, nie przez niego sformułowane pytanie, nie może żądać dodatkowych wyjaśnień i do czasu ich otrzymania odroczyć podjęcie decyzji, nie można nikogo pociągnąć do odpowiedzialności za źle (merytorycznie) przygotowane referendum.

Demos wprawdzie podejmuje decyzje, ale tylko w granicach wyznaczonych mu przez elity biurokratyczno-technokratyczne, których odpowie-

¹⁷ A. Toffler, *Zmiana władzy. Wiedza, bogactwo i przemoc u progu XXI stulecia*, przeł. P. Kwiatkowski, Zysk i S-ka, Poznań 2003, s. 359.

działność za swoje działania staje się jeszcze bardziej iluzoryczna niż w wypadku demokracji reprezentacyjnej.

Demokracja bezpośrednia – paradoksalnie – zwiększa więc rolę elit w życiu społeczno-politycznym.

DEMOKRACJA BEZPOŚREDNIA I TECHNOKRATYZM

Często podnosi się zarzut, że demokracja bezpośrednia może prowadzić do populizmu i demagogii. Chodzi o to, że ułatwia ona działalność demagogicznym, a nie odpowiedzialnym przywódcom, którzy szermując hasłami mądrości ludu i w imię jego zmystyfikowanych interesów będą odrzucać rady mądrych i znających się na rzeczy ludzi. Jest to zagadnienie szeroko omawiane i trudno dodać w tej kwestii coś nowego. W tym tekście chcielibyśmy się skupić na odwrotnej stronie tego zagadnienia – mianowicie na możliwości używania demagogii jako metody forsowania swoich wizji właśnie przez tych „mądrych ludzi”.

Jest oczywiste, że demokracja obywatelska potrzebuje technokratów, problem w tym, że technokraci nie potrzebują demokracji (zwłaszcza bezpośredniej).

Z technokratycznego punktu widzenia wybory, przed którymi stoją obywatele współczesnych państw, nie polegają na wybieraniu jednej z wielu równoważnych opcji, a na zrozumieniu pewnej konieczności wskazującej tylko jeden kierunek działania. Wynika to z przekonania, że tak naprawdę możliwe jest tylko jedno *optimum*, jedno właściwe rozwiązanie każdego problemu, jedna najlepsza wizja przyszłości. W tej sytuacji znika problem wyboru, chodzi jedynie o kompetencje pozwalające to rozwiązanie dostrzec.

Debata demokratyczna staje się więc dla technokraty pustym rytuałem, może jej potrzebować jako sposobu legitymizacji swoich poczynań, ale sama w sobie nie ma dla niego żadnego sensu. Z jego punktu widzenia jest ona albo tylko stratą czasu – jeżeli jej wynikiem są wnioski „właściwe”, tzn. te, do których on wcześniej już doszedł, albo szkodliwym objawem głupoty – jeżeli dochodzi się w niej do konkluzji „złych”, tzn. sprzecznych z obiektywnym wynikiem analizy technologicznej. Jedynym sensem publicznej debaty, dostrzegalnym dla technokraty jest jej funkcja edukacyjna; wtedy gdy podopieczni pod czujnym okiem mistrza uczą się, jak dochodzić do poprawnych

wniosków. Poprawnych – należy to powtórzyć jeszcze raz – tzn. takich, które on już wcześniej poznał i zaaprobował. Taka debata nie ma oczywiście nic wspólnego z demokracją. „[...] demokracja potrzebna jest bowiem tam, gdzie działamy w warunkach niepewności, gdzie liczymy na to, że to co rozumne dopiero wyłoni się z debaty, ścierania się racji, wspólnego wysiłku. Założeniem roboczym demokracji jest, że każdy może się pomylić, zaś patentu na właściwe rozwiązania nie ma nikt, nawet ten, kto dysponuje jakąś ekspercką kompetencją”¹⁸.

Z technokratycznego punktu widzenia, decyzje demokratycznej władzy wyrażającej wolę większości obywateli nieuchronnie podlegają pewnej ewaluacji: dzielą się na dobre i złe, tzn. takie, które podlegają technicznej operacjonalizacji wedle wskazań racjonalności instrumentalnej i te, których wdrażanie nie może być równie skuteczne. Przy czym nie istnieje metoda pozwalająca uniknąć decyzji (z technologicznego punktu widzenia) błędnych, gdyż wymagają one wiedzy dostępnej jedynie nielicznym ekspertom. W naturalny więc sposób pojawia się problem lojalności wobec ośrodka decyzyjnego *ex definitione* generującego błędne decyzje. Mówiąc inaczej; jeśli wiadomo, że ktoś nie potrafi podejmować właściwych decyzji, uprawnione jest pytanie: Czy nie należałoby w jakiś sposób ograniczać jego praw do ich podejmowania – oczywiście dla jego dobra.

Rodzi to paradoks; aby spełnić nadrzędny wymóg skuteczności działania, być w pełni efektywnym, technokrata nie może być jedynie wykonawcą, lecz musi mieć realny wpływ nie tylko na dobór środków, lecz również na wybór celów działania. Aby to osiągnąć powinien mieć zapewniony udział w rządzie. Jednak nie może być to rząd *stricte* demokratyczny, o którego kształcie przesądzają wszyscy obywatele, uczestnicząc na równych prawach w debacie, lecz taki, w którym decydujący głos będą mieli ludzie posiadający odpowiednie kompetencje, czyli technokraci. Technokrata – w imię skuteczności działania – nie może więc zadowalać się rolą jedynie posłusznego wykonawcy zaleceń władzy i nie ma dlań większego znaczenia, czy będzie to władza demokratyczna, czy też o charakterze autorytarnym.

Technokratyzm z natury swojej dąży więc do pełni władzy. Władza taka nie musi być jednak sformalizowana, chodzi przecież o realny wpływ na

¹⁸ A. Szahaj, *Racjonalizm, technokratyzm i śmierć polityki*, [w:] *Rozum a porządek społeczny*, red. J. Miklaszewska, Instytut Filozofii – Uniwersytet Jagielloński, Kraków 2002, s. 65.

ważne decyzje rządu, a nie jego zewnętrzne atrybuty. Celem technokraty nie jest więc formalne zlikwidowanie demokracji i demokratycznego rządu, ale niezauważalne nim sterowanie. Najlepszym zaś sposobem odsunięcia współobywateli od wpływu na losy państwa, przy zachowaniu fasady demokracji, jest – jak pokazują doświadczenia historyczne – demagogia.

Demagog bierze więc udział w debatach publicznych, jednak jego celem nie jest uzgodnienie wspólnego stanowiska biorącego pod uwagę opinie wszystkich zainteresowanych, ani nawet przeforsowanie własnej opinii (choć może to być jednym z etapów w drodze do celu ostatecznego), lecz przejęcie władzy.

Demagog nie ma więc żadnych zahamowań w składaniu nierealistycznych deklaracji i obietnic, gdyż nie zamierza ich spełniać po dojściu do władzy. Debata publiczna jest dla niego czymś ważnym jako konieczny środek przejścia władzy, lecz nie wynika z tego wymóg poważnego traktowania swoich wypowiedzi mających charakter tylko instrumentalny.

Celem debaty publicznej – w rozumieniu technokratów – nie jest podjęcie właściwych decyzji, a jedynie uzyskanie (wszelkimi środkami) przyzwolenia, by decyzje te były pozostawione w rękach polityków. Demagogia jest więc sposobem delikatnego pozbawienia ludzi tego, czego oni i tak nie potrafią właściwie użyć, czegoś, co byłoby dla nich niebezpieczne. Przypomina to zachowanie troskliwego ojca, który delikatnie wyjmując z rąk dziecka ostre narzędzia, którymi mogłoby się skaleczyć, nie podając jednocześnie prawdziwych powodów swego postępowania, gdyż uważa, że dziecko nie jest w stanie ich pojąć.

Jak pisał Rousseau: „Mędrcy, chcąc przemawiać do pospólstwa swoim, nie zaś jego językiem, nie będą zrozumiani. Otóż jest tysiąc rodzajów myśli, których nie można przełożyć na język ludowy”¹⁹. Wymogiem więc skuteczności politycznej jest umiejętność nieustannego przechodzenia od języka mędrców w ramach debaty wewnątrzelitarniej (jest to konieczne, gdyż tylko posługiwanie się językiem adekwatnie oddającym złożoność procesów społeczno-gospodarczo-politycznych pozwala na podjęcie właściwych decyzji) do języka „ludowego”, gdyż tylko retoryka odwołująca się do niego może skutecznie spowodować dobrowolne złożenie władzy w ręce elity. Jest to wizja – należy to jeszcze raz podkreślić – społeczeństwa paternalistycznego,

¹⁹ J. J. Rousseau, *O umowie społecznej*, przeł. i oprac. M. Starzewski, Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków 1927, ks. 2, rozdz. 7, s. 51.

w którym niekontrolowana władza jest sprawowana dla dobra tych, którzy dostępu do niej są pozbawieni.

Należy jednak pamiętać, że „każda władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie”, a więc istnienie elit działających poza kontrolą społeczną bardzo szybko może się przekształcić z władzy dla dobra ludu we władzę nad ludem dla dobra elit rządzących. Demokracja bezpośrednia może zatem stać się drogą do demokracji czysto fasadowej, czyli do likwidacji demokracji.

PODSUMOWANIE

Zwrócenie uwagi na negatywne skutki, jakie może za sobą pociągnąć rozpowszechnienie się zasad demokracji bezpośredniej (choć należy pamiętać, że są zagrożenia wprawdzie realne, ale niebędące koniecznym następstwem tej formy ustrojowej), nie oznacza oczywiście, iż demokracja bezpośrednia jest błędem ustrojowym. Przeciwnie, w dzisiejszym skomplikowanym świecie głos *demosu* – właściwego suwerena – jest często niesłyszalny przez tych, którzy podejmują decyzje dotyczące naszego życia i w tym sensie pewne elementy demokracji mogą być lekarstwem na bolączki współczesnego społeczeństwa. Jednak jak wszystkie lekarstwa, tak to również musi być stosowane oszczędnie i z najwyższą ostrożnością, by nie stało się gorsze od choroby.